

„Bliscy Nieznajomi – Sopot ‘70”

Od zarania mej pamięci Sopot zawsze był dla mnie miejscem magicznym. Pamiętam z wczesnego dzieciństwa opowieści mojego Taty Sylwestra (1900 – 1987), który przed wojną był dobrze prosperującym adwokatem. Wraz z przyjaciółmi spędzał w Sopocie kilka letnich tygodni, określoną ilość pieniędzy przeznaczając zwykle na ruletkę – i ani grosza więcej. Dysponował pięknym wiśniowo-srebrnym kabrioletem marki „Hansa”, który pozwalał na liczne wycieczki po okolicznych terenach. Po wojnie Tata postrzegał Sopot jako miejsce bezbarwne, pozbawione życia i dawnej świetności, choć - mimo zdewastowania - pełne niepowtarzalnego uroku.

W moich czasach szkolnych – do 1963 roku - mieszkaliśmy z Rodzicami w Bydgoszczy. Mieliśmy we Wrzeszczu bliskich krewnych, którzy latem wraz z dziećmi wyjeżdżali na wieś do swojej rodziny. W tym czasie mogliśmy korzystać z ich mieszkania. Głównym elementem programu – gdy tylko była pogoda – były wyprawy na plażę: jeździliśmy zwykle tramwajem do Brzeźna. Wyjazdy na spacer do Sopotu stanowiły nieodłączną część naszego wakacyjnego rytuału. Trasa tych wypadów była mniej więcej stała. Przyjeżdżaliśmy zawsze kolejką elektryczną, co już samo w sobie było pewną atrakcją. „Monciakiem” schodziliśmy w dół, oglądając po drodze zawartość witryn sklepowych, pozwalaliśmy sobie czasem na lody, aż docieraliśmy do mola. Tu witał nas Pan Fotograf proponujący zdjęcia na bujanym koniku lub w aucie-zabawce. Często, na stanowcze życzenie Mamy, zachodziliśmy do BWA, nieraz też snuliśmy się po tajemniczych, pełnych zieleni urokliwych uliczkach w willowej części miasta. Tak więc dla nas, jak i dla wszystkich przyjezdnych, letni Sopot był wówczas miejscem, do którego zawsze chciało się wracać.

Mając lat siedemnaście (1963) rozpocząłem studia w Gdańsku i na dobre rozstałem się z Bydgoszczą. Sopotkie dziewczyny słynęły ze swej urody, a trafić chciałem, że zakochałem się w jednej z nich po same uszy. Przyszła teściowa po pewnym czasie przygarnęła mnie do serca i traktowała jak własnego syna, więc w Sopocie znalazłem na pewien czas swój drugi dom. W takich właśnie okolicznościach powstały fotografie, które ponownie „odkryłem” pół wieku później.

Było to lato 1970 roku, czasy „głębokiego PRL-u”, ostatnie wakacje ery gomułkowskiej - któż sobie wówczas zdawał sprawę z nadchodzącej burzy! A chmury już wisiały na horyzoncie: marzec 1968 roku mieliśmy jeszcze w świeżej pamięci, a za chwilę czekał nas krwawy grudzień 1970 roku. Byliśmy wówczas społeczeństwem bez perspektyw na lepsze jutro, przytłoczonym beznadziejną szarością codzienności i okrucieństwem totalnego zakłamania publicznego.

Sopot był wówczas bezdyskusyjną letnią stolicą Polski, oazą beztrojski i miejscem kultu niemal. Zjeżdżali tu turyści zagraniczni, tłumy tych, którzy chcieli odetchnąć od bezbarwnej prząsności, wczasowicze (ho,ho – na wczasy w Sopocie trzeba było sobie zasłużyć...), panienki lekkich obyczajów, złodzieje, cinkciarze, tajniacy – ale też intelektualiści, artyści, pisarze i całe rzesze ludzi ciężko pracujących na chleb powszedni. Dzięki im wszystkim barwny klimat ówczesnego Sopotu był po prostu niepowtarzalny.

Celem stworzenia zbioru „Bliscy Nieznajomi – SOPOT ‘70” było choć częściowe ukazanie tegoż klimatu. Inaczej wówczas wyglądał Sopot, ludzie się inaczej ubierali, lody inaczej smakowały, wszystko było inne... Oglądając tę kolekcję moje pokolenie z łezką w oku wspomina tamte czasy, a dla młodszych zawarte w niej zdjęcia niechaj będą nie tylko dokumentem, ale też przypomnieniem i przestrogą.

„Bliscy Nieznajomi - SOPOT ‘70” to klasyczny dziś fotoreportaż uliczny. Pół wieku temu pojęcie „street photography” dopiero się rodziło, z wielkim trudem przecierając sobie drogę do obszaru sztuki. Polska fotografia „artystyczna”, ta z salonów, wystaw i konkursów, oscylowała wówczas wokół stylistyki zwanej „fiapowską” (od Międzynarodowej

Federacji Amatorskich Stowarzyszeń Fotograficznych - FIAP) z jednej strony, z drugiej zaś usiłowała unieść ciężar preferowanego przez władzę ludową socrealizmu. Nasze środowiska fotograficzne bezmyślnie deprecjonowały tradycje piktorialne, w tym „fotografię ojczystą”, podczas gdy miesięcznik „Fotografia” - ze Zbigniewem Dłubakiem i Zofią Czartoryską na czele - próbował nam oczy otworzyć po części na różnorodność fotografii, po części zaś na działania niezauważanej w świecie - bo jak i skąd - niezwykle interesującej polskiej awangardy.

Trzeba pamiętać, że żelazna kurtyna dość skutecznie izolowała nas od niemal wszystkiego, co działo się w fotografii zachodnio-europejskiej, amerykańskiej czy japońskiej. Mimo to pojawiły się w Polsce takie wydawnictwa jak „Świat”, „itd” czy „Polska”, które preferowały nowoczesny fotoreportaż. Było to możliwe dzięki całej plejadzie znakomitych fotoreporterów, takich jak Irena Jarosińska, Marek Holzman, Piotr Barącz, Tadeusz Rolke, Wojciech Plewiński... - nie sposób wszystkich wymienić. Dotarli do nas mimo izolacji wystawy fotografii „totalnej” Karola Pawka: „Kim jest człowiek”, „Kobieta” i „W drodze do raj”. Materiał w nich zawarty stał się nie tylko globalnym wzorcem sposobu przedstawiania świata. Ukazanie możliwości penetrowania egzystencjalnych problemów człowieka za pomocą fotografii doprowadziło do jej znaczącej nobilitacji w obszarze sztuki. W Polsce pojawił się (1963) genialny album Zofii Rydet „Mały Człowiek”, który wywarł u nas olbrzymi wpływ na definiowanie „dobrej fotografii”. Mimo upływu czasu jestem nim zafascynowany po dziś dzień.

Jako jeden z redaktorów Ilustrowanego Magazynu Studentów Politechniki Gdańskiej „Kroniki Studenckiej” w latach 1964-1968 uczyłem się fotoreportażu pod okiem Stefana Figlarowicza, późniejszego Prezesa Związku Polskich Artystów Fotografików. Stefan zawsze mawiał, że „chodzi nam o wykorzystanie w fotografii jej największej zalety, jaką jest utrwalanie życia, tworzenie artystycznej kroniki naszych czasów”. Jego wieloletnie konsekwentne działania przyczyniły się do wprowadzenia w obowiązującą narrację pojęcia „artystycznej dokumentacji”. W jednym ze swych ważniejszych tekstów (FOTO Nr 2(26) z lutego 1977 roku) pisał tak: „...Dość często słyszy się opinie, iż artysta foto-

grafik to przede wszystkim plastyk. Jestem innego zdania. Dla mnie artysta fotografik to literat, filozof, moralista, dziennikarz.” Postawa taka budziła w ówczesnym środowisku fotograficznym wiele kontrowersji, ale też zaowocowała wieloma cennymi inicjatywami i realizacjami.

Ze Stefanem się nie do końca zgadzałem uważając tak wówczas i dzisiaj, że fotografia niejedno ma imię, że żadnego z jej nurtów nie wolno deprecjonować i z błotem mieszać. Na szczęście różnice poglądów nie przeszkadzały nam współpracować, czego owocem była działalność Grupy „Homo” czy też – po wielu latach – wystawa „U Maryny Bal 1968” nawiązująca do wydarzeń marcowych 1968 roku.

Mój stosunek do własnej fotografii zawsze był pełen niedosytów i wątpliwości. Tak też i było z materiałem składającym się na kolekcję „Bliscy Nieznajomi – SOPOT ‘70”. Kilka lat temu w tej ostatniej kwestii nastąpił pewien przełom. Robert Gauer, znakomity polski fotografik, sprezentował mi dwa potężne albumy ukazujące prace kultowego dziś Elliotta Erwitta („Personal Best” i „Unseen”). Dotarło do mnie nagle, jak bliskie mojemu fotografowaniu są jego zdjęcia z tamtego okresu i zainspirowało mnie do realizacji obecnie prezentowanej kolekcji. Kieruję ją do wszystkich, dla których Sopot jest miejscem bliskim sercu.

Erazm W. Felcyn (maj 2020)

Rocznik Sopocki XXXII (2021)